



TADEUSZ OLSZAŃSKI

IGRZYSKA
OSOBIŚCIE

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

TADEUSZ OLSZAŃSKI

IGRZYSKA
OSOBIŚCIE

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**



Książce tej patronuje
Polski Komitet Olimpijski

TADEUSZ OLSZAŃSKI

IGRZYSKA OSOBIŚCIE

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

Spis treści

Karta redakcyjna

Przedmowa

Część pierwsza
OSOBISTA HISTORIA OLIMPIAD

I Mój wyścig

Projekt okładki: MDESIGN *Michał Duława* | michaldulawa.pl Zdjęcie na okładce: Everett Collection | Shutterstock.com Zdjęcie na czwartej str. okładki: archiwum autora Redakcja „Rachunek za igrzyska”: *Barbara Olszańska* Korekta: *Zofia Kozik* Redakcja techniczna: *Andrzej Leś-*

kiewicz Skład i łamanie: Anter Poligrafia

Copyright © Tadeusz Olszański 2004, 2012

Copyright © Wydawnictwo Studio EMKA,

Warszawa 2021 r.

Wszelkie prawa, łącznie z prawem do reprodukcji tekstów w całości lub w części, w jakiegolwiek formie – zastrzeżone.

Wydawnictwo Studio EMKA

wydawnictwo@studioemka.com.pl

www.studioemka.com.pl

ISBN 978-83-66142-96-1

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PRZEDMOWA

Tadeusz Olszański z perspektywy kilkudziesięciu lat obserwuje sport. Sam go uprawiał, potem opisywał na łamach czołowych gazet, w radiu, telewizji i w wielu książkach.

A wszystko zaczęło się w ukochanym Stanisławowie, gdzie w miejscowym kinie Ton zaczął się jego podziw dla sportu, który później przekształcił się w miłość trwającą do dzisiaj.

To zaangażowanie połączone z ogromną pasją spowodowało, że Kapituła powołana przez Klub Dziennikarzy Sportowych, a składająca się ze znawców sportu, jego historyków, pracowników wyższych uczelni oraz czołowych sportowców, mistrzów i medalistów olimpijskich, uznała go za najlepszego dziennikarza prasowego w latach 1921–2021, a więc w okresie wydawania najstarszego, ukazującego się bez przerwy polskiego dziennika sportowego „Przeglądu Sportowego”, obchodzącego w 2021 roku jubileusz 100-lecia.

Prawie wszystkie książki Tadeusza Olszańskiego, a jest ich kilkanaście, mają w tytule słowa związane ze sportem, takie jak magia, medal czy czysta gra.

Właśnie czystą grę, uczciwość w sportowej rywalizacji zaszczerpiono Olszańskiemu w domu rodzinnym. Usilne dążenie do promowania zasad fair play sprawiło, że przed laty na łamach kultowego „Sztandaru Młodych” – w którym wówczas kierował redakcją sportową – powstała nagroda Dżentelmen Sportu, przyznawana od 1963 roku. Tę datę można uznać za początek promocji zasad czystej, uczciwej gry w Polsce oraz na arenie międzynarodowej. Olszański do dziś jest członkiem Europejskiego Ruchu Fair Play, a jego działalność była wielokrotnie nagradzana.

Z książek „Osobista historia olimpiad” oraz „Rachunek za igrzyska, czyli co się stało ze sportem” przebija troska o dalszy jego rozwój.

Autor szuka odpowiedzi na pytanie: Quo vadis, sporcie? A odpowiedzi jest wiele. Olszański zdaje sobie sprawę, że współczesnym sportem rządzi pieniądź, że nie ma już miejsca na wyobrażenie, jakie miała o nim ludzkość kilkadziesiąt lat temu.

Dlatego unika odpowiedzi, że sport zmierza donikąd. Takie postawienie sprawy odebrałoby bowiem sympatykom sportu, a także zawodnikom uczestniczącym w rywalizacji, możliwość myślenia o czystym jego wydaniu, bez deprecjacji jego wartości, która nie jest nowością w sporcie.

Przykłady częstego dopingu, które autor przytacza, budzą jego niepokój o spojrzenie na sport przez młodego człowieka szykującego się do rozpoczęcia życiowej przygody ze sportem.

Troską jest także, aby pomijanie zasady uczciwej gry nie powodowało, że sportowiec dąży do osiągnięcia sukcesu za wszelką cenę. Cel za wszelką cenę – jak pokazały liczne przypadki – doprowadził do śmierci wielu sportowców.

Nie podoba mu się także, że coraz częściej do sportu wkrada się polityka, bojkoty ważnych wydarzeń czy też zamachy terrorystyczne, i widzi w tym istotne zagrożenie.

Olszański, analizując sportową przeszłość i patrząc w jej przyszłość, punktuje również coraz częściej pojawiającą się gigantomanię imprez sportowych oraz merkantylizację sportu.

Myślę, że zarówno ja, jak i Tadeusz Olszański, będąc urodzonymi optymistami, zgadzamy się, że „rachunek za igrzyska” nie będzie ostatecznie za wysoki.

Jerzy Jakobsche

Honorowy Prezydent Europejskiego Stowarzyszenia Prasy Sportowej AIPS
Europe

Część pierwsza

OSOBISTA HISTORIA OLIMPIAD

Jest to książka znakomita, i nie tylko w skali naszej branży, czyli dziennikarstwa sportowego. Jest to niezmiernie subiektywny, i niewykluczone, że tym bardziej interesujący zapis wrażeń z imprez, z którymi chyba nie wytrzymują porównań żadne inne, organizowane we wszystkich – poza sportem – dziedzinach życia. Z igrzyskami olimpijskimi przegrywają „w przedbiegach” wystawy światowe EXPO, festiwale teatralne i filmowe, nawet Woodstock, nawet wojny! Igrzyska nie mają po prostu sobie równych.

Janusz Atlas, „PRZEGLĄD SPORTOWY”

Olszański sport i olimpiady kocha, to widoczne jest na każdej kartce tej książki. Ze szczególną estymą portretuje legendarnych mistrzów i bohaterów olimpijskich: Jesse Owensa, Emila Zatopka, Johnny’ego Weissmuellera, Janusza Kusocińskiego, Paavo Nurmiego, Jima Thorpy’ego, Spyrosa Louisa. Z niektórymi z nich zetknął się osobiście, sylwetki innych odtworzył drogą pracowitych kwerend w archiwach m.in. Międzynarodowej Akademii Olimpijskiej w Olimpii.

Zgodnie z tytułem pełno jest w książce osobistych, a więc i subiektywnych wrażeń. To jej duża zaleta! Olszański ma oko rasowego reportera, ciekliwego w penetrowaniu źródeł...

Zbigniew Dutkowski, „ŻYCIE WARSZAWY”

Autora bardziej od niewiarygodnych rekordów, ekscytujących triumfów i spektakularnych klęsk interesują sportowe kulisy. Zaglądał za nie podczas kolejnych igrzysk, które obsługiwał jako korespondent prasowy. Tyle że wielokrotnie nie mógł na bieżąco dzielić się spostrzeżeniami...

Tomasz Z. Zapert, „ŻYCIE”

Tadeusz Olszański z „Polityki” napisał „Osobistą historię olimpiad”. W książce znajduje się opis zadziwiającego wydarzenia, które zaszło na olimpiadzie w Moskwie. Jak wiadomo została ona częściowo zbojkotowana

przez Zachód ze względu na inwazję radziecką w Afganistanie w grudniu 1979 r. Na tej olimpiadzie Węgry miały dwóch świetnych oszczepników – Istvána Paragi i Miklósa Németha, a Finlandia – Hannu Sitonena. Wszyscy oni rzucali wspaniale, ale przegrywali – i ostatecznie przegrali – z dwójką radzieckich zawodników – Dainisem Kulą i Aleksandrem Makarowem. Ci, chociaż „topornie”, rzucali o 10 metrów dalej. Co się okazało? „Ileć na wybiegu stawali Kula i Makarow – pisze Olszański – tyleć otwierano bramę znajdującego się za nimi tunelu pod trybunami. I wtedy powstawał prąd powietrzny, po prostu korzystny ciąg powietrzny, bo główny, stale otwarty tunel znajdował się dosłownie na wprost”.

Innymi słowy, przeciąg pchał oszczepy.

Zygmunt Broniarek, „WIECZÓR”

„Osobista historia olimpiad” Tadeusza Olszańskiego. Celem totalnego zanurzenia się w aurze w trakcie olimpiady czytam opowieści olimpijskie i to w zasadzie jest właściwe. Niewłaściwe jest natomiast to, że w trakcie lektury – to prawda świetnie napisanej i zajmującej – książki Olszańskiego coraz bardziej wolę czytać o dawnych olimpiadach, niż śledzić olimpiadę dzisiejszą.

Jerzy Pilch, „POLITYKA”

I

MÓJ WYŚCIG

W 1949 roku, na trzy tygodnie przed maturą, nauczyciel wychowania fizycznego w moim liceum imienia Mikołaja Kopernika w Opolu, porucznik rezerwy Henryk Kobylec, rozkazał wszystkim przyjść na basen, bo bez zdania egzaminu na kartę pływacką nikt nie dostanie świadectwa dojrzałości. Uwielbiałem pływać, było słonecznie i ciepło, więc z radością przerwałem kucie matmy. Na basenie spotkaliśmy się w komplecie, włącznie z wszystkimi klasowymi ofermami, które znając gołębie serce profesora Kobylca, wiedziały, że choć karty pływackiej nie dostaną, to egzamin zaliczą, pod warunkiem że na płytszej części pływalni przez kilka minut praktycznie udowodnią działanie prawa Archimedesesa. Ja natomiast dziarsko wskoczyłem do wody i pięknie płynąc żabką, byłem pierwszy na mecie z dość dużą przewagą. Porucznik dysponował stoperem przywiezionym z Włoch z wyposażenia armii generała Andersa i stwierdził, że przepląnąłem dystans w 2 minuty i 48 sekund. Ani pan profesor, ani ja, ani moi koledzy nie orientowali się, że był to, jak na owe czasy, rezultat lepszy od rekordu Polski. Dostałem kartę, poklepano mnie po ramionach i na tym by się skończyło, gdyby szkoła nie wysłała protokołu z zawodów do Wojewódzkiego Urzędu WF i PW w Katowicach. Nie ulega też wątpliwości, że ten fakt miał poważny wpływ na moje dalsze losy. W Katowicach bowiem znali się na pływaniu. Nie sądzę wprawdzie, aby ktoś zaraz złapał się tam za głowę w związku z odkryciem wspaniałego talentu pływackiego, wynik zapewne – i słusznie – uznano za pomyłkę, niemniej jako jedyny z Opola dostałem powołanie na obóz instruktorów pływania do Sierakowa z załączonym bezpłatnym biletem na przejazd II klasą PKP.

– Otóż przyjechał ten rekordzista z Opola! – powitał mnie w Sierakowie trener Zbigniew Papes. – Weź slipy, idź na basen, zaraz ci zmierzę czas.

Tym razem rekordu nie było, ale i obeszło się bez kompromitacji, bo gorszy prawie o minutę wynik 3:40 odpowiadał normom ówczesnej II klasy sportowej, więc mieściłem się, a nawet nie byłem najgorszy w grupie kursantów.

Po wojennych peregrynacjach, które ze Stanisławowa, przez Węgry, Kraków przywiodły mnie w końcu wraz z rodzicami do Opola, zachłannie, z wszystkimi szkolnymi kolegami uprawiałem wszelkie dostępne sporty. Kopaliśmy piłkę, graliśmy w ping-ponga, boksowaliśmy, braliśmy udział w biegach narodowych i marszach jesiennych. W tamtych czasach w szkole dbano o sport, a dobry stan poniemieckich obiektów umożliwiał czynne uprawianie czego dusza zapagnie. Było tylko jedno kino i jeden teatr, a sportowych możliwości dziesięć razy więcej. Z wielkim sportem zetknąłem się wszakże dopiero w Sierakowie. W Opolu była to zabawa, zawody na poziomie reprezentacji szkoły, a w Sierakowie twardy sportowy trening i wielkie wówczas gwiazdy polskiego sportu pływackiego. Obok kursu instruktorskiego odbywał się tam bowiem obóz kadry narodowej. Krytej żabki, i to na dwa pociągnięcia pod wodą, nauczył mnie Kazik Jankowski, w przyszłości świetny lekarz, a motylkiem nauczyłem się pływać, podpatrując rekordzistę Polski Ryszarda Cichońskiego. Na moje sukcesy w pływaniu było za późno, miałem dziewiętnaście lat i gdybym zaczął choćby sześć lat wcześniej, być może doszedłbym do większych sukcesów. Ba! Nie tylko mnie te lata zabrała wojna. Niemniej sport mocno mnie wtedy, właśnie w Sierakowie, wciągnął.

Wkrótce wszedłem na jeszcze wyższe piętro. Już na studiach dziennikarskich w Warszawie, w maju 1951 roku, też drogą przypadku, zauważyłem wywieszone na murach Uniwersytetu Warszawskiego ogłoszenie o egzaminach na tłumaczy Wyścigu Pokoju. Była to niebywała okazja i pogałem natychmiast do gmachu CRZZ (Centralna Rada Związków Zawodowych), tuż obok uniwerku. Przyszły oczywiście tłumy, ale ze znajomością węgierskiego byłem jeden jedyny. Reszta stanęła do eliminacji, a mnie nawet to ominęło, gdyż nie miał kto mnie z tego pogańskiego języka przepytać i uwierzono mi na słowo honoru. Zaraz potem sprawdziłem się w akcji i

przejechałem polskie etapy z Warszawy do Wrocławia w wozie technicznym węgierskiej ekipy, u boku trenera oraz kierownika zespołu. Wyścigu prawie nie widziałem, bo moi Madziarzy jechali przeważnie w ogonie. Tylko jeden Tibor Vida raz czy drugi zabrał się z czołówką i wtedy asekurowaliśmy go, pędząc za peletonem. Był to pionierski okres kolarstwa, napatrzyłem się więc na rozpacz zawodników, którzy tak często łapali dętkę na jeszcze gorszych niż dziś drogach, że mechanicy nie nadążali z podawaniem im zapasowych, naprawionych kół, więc sami musieli zmieniać i pompować gumy. Stąd też na starcie każdy kolarz miał kilka zapasowych, zwiniętych w ósemkę i założonych na ramiona dętek. A przy ramie pompkę, która czasami służyła załatwianiu porachunków z przepychającymi się na siłę i potracającymi innych rywali, w czym celował Czechosłowak Rużiczka. Znacznie ciekawsze niż walka na szosie były kulisy wyścigu, czyli nieustanne kłótnie na odprawach kierowników drużyn, a to o zajeżdżanie drogi przez zawodników, a to o kolejność wozów technicznych na starcie oraz o inne najrozmaitsze drobiazgi. W atmosferze nie było nic z nazwy wyścigu, do której natomiast szczerze nawiązywano wieczorem podczas bankietów dla kierownictw poszczególnych ekip. Wszędzie towarzyszyłem z tytułu pełnienia obowiązków tłumacza, mając surowo przykazane, żebym broń Boże się nie upił i po zakończeniu przyjęć odprowadził na kwatery powierzonych mojej opiece gości. A ci nie wylewali za kołnierz i w przeciwieństwie do zawodników pod tym względem byli w czołówce wyścigu. Przemówienia i toasty, które tłumaczyłem, były budujące, a przyjaźń Węgrów, w przeciwieństwie do niektórych innych nacji, absolutnie szczerą.

Po każdym etapie odbywała się najpierw wspólna kolacja, po której zawodnicy szli spać, a działacze i dziennikarze rozpoczynali bankiety. Odbywały się one codziennie, a największy, w Łodzi, zaszczycił swoją obecnością najważniejszy wówczas w polskim sporcie człowiek – pułkownik Apolinary Minecki. Prezencję miał znakomitą – wysoki, postawny, w garniturze z szarej flaneli, w jakich paradowali wówczas najwyżsi funkcjonariusze. Wszystko było w porządku, dopóki nie otworzył ust, bo nie tyle rosyjski akcent, ile raczej dosadność słów powalała na ziemię. Wprawdzie Minecki był tylko wiceprzewodniczącym Głównego Komitetu Kultury Fizycznej,

ale jako oficer radzieckich służb specjalnych, skierowany do Polski, faktycznie rządził sportem. Organizatorzy wyścigu z Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Sportowych ostrzegli mnie z miejsca, żebym się przypadkiem towarzyszowi ministrowi nie naraził, bo wylecę jak z procy i kto im wtedy będzie Madziarów tłumaczył. Był to czas, kiedy z urzędów i klubów sportowych usuwano resztki przedwojennych działaczy i Minecki zasłynął ze swoich lakonicznych opinii na dokumentach w sprawach personalnych. Swój negatywny stosunek do danej osoby zwykł bowiem wyrażać jednym dopiskiem: *wypizdit!*

Minecki wygłosił kilka rubasznych toastów, tego popił i nazajutrz prześpał etap z Łodzi do Katowic za czarnymi okularami w otwartym chevroletcie z numerem jeden, czyli w najważniejszym samochodzie wyścigu. Tyle go potem widziałem, ale docierały do mnie niesamowite opowieści, w które nie sposób było wprost uwierzyć. Pisać o tym nie było wolno, świadkowie wyczynów Mineckiego milczeli, a jego samego po igrzyskach olimpijskich w 1952 roku w Helsinkach ekspediowano ciupasem do Moskwy, znacznie wcześniej niż innych oficerów radzieckich. Po latach, kiedy już byłem dziennikarzem pełną gębą, natknąłem się nagle na wspaniałego kiedyś sportowca, który wykoleił się życiowo i stał się nieuleczalnym alkoholikiem. Był nim wielokrotny mistrz Polski w wadze półciężkiej w boksie Franciszek Szymura. Pisałem właśnie książkę o Feliksie Stammie *Została legenda* i postanowiłem poświęcić rozdział właśnie temu pięściarzowi, który pochodził z Poznania i był mocno związany ze Stammem. Wtedy dowiedziałem się, że Szymura, na swoje nieszczęście, został osobistym kierowcą Mineckiego. Szymura był dziwakiem, absolutnym abstynentem, „starym kawalerem”. Po wojnie boksował w warszawskiej Gwardii, w milicyjnym klubie, więc wymyślono, aby jako pewnego człowieka i w dodatku nieznoszącego alkoholu przydzielić go do Mineckiego. I oto nagle Szymura się rozpił. Krążyła legenda, że było to dziełem innego boksera, genialnego Antoniego Kolczyńskiego, który przed wojną zmiatał rywali z ringu, ale w czasie okupacji się rozpił. A potem wciągnął w nałóg Szymurę, bo boksowali w jednym klubie. Otóż nie. Szymurę rozpił Minecki! To on zmusił go do wypicia pierwszego kieliszka. Szymura, osobisty kierowca i ochroniarz Mineckiego,

opowiedział mi o wyczynach swego szefa w Helsinkach. To, że w stolicy Finlandii po pijanemu wyrwał kierownicę z rąk Szymury i rozbił samochód, było niczym, bo jako szefa ekipy olimpijskiej chronił go dyplomatyczny immunitet. Uparł się jednak Minecki na jedną z gwiazd naszej gimnastyki, mistrzynię świata sprzed roku, i zaczął ją najpierw nachodzić, a potem jej dokuczać. Całkowicie zdekoncentrowana mistrzyni zajęła kompromitująco dalekie miejsca. W drodze powrotnej, na statku, świętując zwycięstwa polskich bokserów na ringu w Helsinkach, Minecki zdołał dokonać tego, czego nie osiągnęli ich przeciwnicy, i doprowadził Aleksego Antkiewicza oraz Zygmunta Chychłę do stanu głębokiej zapaści. Tego drugiego, zdobywcę jedyne złotego medalu dla polskiej ekipy, musieli wręcz ratować lekarze, gdyż był uczulony na alkohol i po libacji omal się nie udławił w kajucie. Wiele krzywdy i podłości wyrządził Minecki ludziom, ale jako że miał szeroką, słowiańską duszę, dla niektórych okazał się również łaskawy. Opowiadała mi medalistka w rzucie oszczepem na igrzyskach w Berlinie – wspaniała postać polskiego sportu – Maria Kwaśniewska-Maleszewska, że Minecki poparł swego czasu, ochronił przed represjami i dał pracę jej mężowi, znakomitemu koszykarzowi, a potem trenerowi, Władysławowi Maleszewskiemu, który jako AK-owiec z Wilna ukrywał się po przyjeździe do Warszawy i nie mógł znaleźć dla siebie miejsca.

W taki oto sposób ze swoimi niespełnionymi ambicjami sportowymi oraz przemożnymi chęciami zajrzenia za wielkie kulisy coraz bardziej zacząłem się skłaniać w stronę właśnie tej dziedziny. Na wydziale dziennikarskim UW kończyłem wprowadzie specjalizację kulturalną, wysoce atrakcyjną dzięki barwnym wykładom Aleksandra Jackiewicza, Romana Karsta i Ryszarda Matuszewskiego, pociągała mnie też problematyka międzynarodowa, ale po otrzymaniu dyplomu ukończenia studiów musiałem pożegnać się z myślą o dziennikarstwie. Była to pierwsza linia frontu ideologicznego, w której nie znalaziono dla mnie miejsca, co uświadomił mi dziekan wydziału, powszechnie uważany za wstrętą postać, Jakub Litwin, wręczając skierowanie do pracy w nowo powstającym wydawnictwie książkowym Iskry. Trochę jeszcze pływałem w AZS-ie, a potem w Legii, zacząłem działać społecznie w pływaniu, aż do 1956 roku, kiedy otworzyły się możliwości

podjęcia pracy jako dziennikarz. Najpierw wylądowałem na dwa miesiące w redakcji „Przeglądu Sportowego”, a potem znalazłem się w wydawnictwie miesięczników sportowych, gdzie poznałem swego pierwszego mistrza, wspaniałego człowieka, redaktora Aleksandra Rekszę. Był to legendarny, przedwojenny dziennikarz sportowy, autor głośnej powieści *Wielka gra*, a po wojnie komentator radiowy i kierownik redakcji sportowej Polskiego Radia. Wybitny znawca boksu, którym się wtedy pasjonowałem. Reksza został usunięty na boczny tor po mistrzostwach Europy w boksie w 1953 roku w Warszawie, kiedy to, zgodnie z tym, co się działo na ringu, uznał zdobycie pięciu złotych medali przez polskich pięściarzy za większy sukces niż dwa tytuły mistrzowskie radzieckich bokserów. Nie taił też radości na antenie, gdy nasi – Henryk Kukier, Zenon Stefaniuk, Józef Kruża, Aleksy Antkiewicz, Leszek Drogosz, Zbyszek Pietrzykowski, Tadeusz Grzelak i Bogdan Węgrzyniak – szli od zwycięstwa do zwycięstwa i eliminowali reprezentantów ZSRR. Tylko dwa razy udało mi się dostać bilety do odbudowanej na tę okoliczność Hali Mirowskiej. Nie opuściłem jednak ani jednego spektaklu. Codziennie, w oblegającym halę tłumie, słuchałem relacji radiowych – o telewizji wtedy jeszcze nikomu nawet się nie śniło – rozmów z naszymi bokserami i znakomitych komentarzy Rekszy. Razem wiatowaliśmy w dniu finałów, razem nosiliśmy na ramionach Feliksa Stamma wokół Hali Mirowskiej. Te mistrzostwa po wielu latach braku sportowych sukcesów były powodem do wielkiej radości i dumy, właśnie dzięki zwycięstwom naszych bokserów nad radzieckimi. Reksza i jego sprawozdawcy radiowi nie robili nic innego, jak tylko wiernie relacjonowali to, co działo się na ringu. Uznano to wszakże za odchylenie narodowe i wyrzucono Rekszę z radia. Zupełnie inaczej – słusznie! – oceniała mistrzostwa prasa i nigdy nie zapomnę głównego tytułu, jakim „Przegląd Sportowy” opatrzył sprawozdanie z finałów. Ogromne litery wieściły: „Jengibarian i Soczikas Mistrzami Europy!”. I dopiero pod spodem małymi literami: „Polscy bokserzy zdobyli 5 złotych medali!”.

Redaktor Reksza długo nie mógł znaleźć pracy, aż wreszcie w 1956 roku, kiedy postanowiono wydawać miesięczniki sportowe, powierzono mu – i to z oporami – współredagowanie pisma „Ring wolny!”. Znow zaczął publi-

kować swoje komentarze i miał na łamach pisma stałą rubrykę o boksie zawodowym, co było absolutnym ewenementem. Do tego momentu bowiem na łamach polskiej prasy na amerykańskim boksie profesjonalnym wieszano psy, traktując tę dziedzinę jako pełną zarazę. Reksza pisał natomiast o wielkich postaciach ringu, Jacku Dempseyu, Joem Lousie czy Rockym Marciano, jako godnych naśladowania mistrzach. W 1958 roku Reksza został redaktorem naczelnym miesięcznika i zmienił tytuł na „Boks”. Współpracowałem z tym pismem długie lata. W taki oto sposób splotły się moje losy u progu dziennikarstwa z człowiekiem wielkiej klasy i rzetelności. Obdarzonym w dodatku poczuciem humoru, serdecznym. Redagowanie miesięczników było dobrą szkołą, ale przecież nie wymarzonym sportowym dziennikarstwem. Przyszło mi na to jeszcze trochę poczekać, aż jesienią 1957 roku zrobiło się wolne miejsce w dziale sportowym „Sztandaru Młodych”.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
